

PRAWDZIWE ŻYCIE JACKA PONIEDZIAŁKA

Aktor to za mało

Przyjaciele mówią o nim, że jest trudny, wymagający, chwilami histeryczny. I już dawno – dodają – nie wystarcza mu aktorstwo. Przekłada teksty, reżyseruje. **I wciąż klóci się o Polskę**, choć mówi, że już nie ma na to sił

TEKST RENATA KIM, EWELINA LIS

ZDJĘCIA MAREK SZCZEPAŃSKI

Jak on cię łapie za włosy, oboje zaczynacie odczuwać niepokojącą przyjemność. Ty się temu poddajesz – tłumaczy Jacek Poniedziałek Iwonie Sitkowskiej, która zagra rolę Maggie w „Kotce na gorącym blaszanym dachu”.

– A ty ją podnieś, a potem nią potrząśnij, jakbyś chciał wytrząsnąć z niej to pożądanie – instruuje w kolejnej scenie Wojciecha Lato, który gra jej męża Bricka.

Jest 12 kwietnia, do premiery sztuki Tennessee Williamsa w nowohuckim Teatrze Ludowym zostało kilka tygodni. – Dziś chciałbym po kolei przejść wszystkie sceny. To będzie trudna próba – zapowiada Poniedziałek, który nie tylko na nowo przetłumaczył „Kotkę”, ale też ją reżyseruje.

Siedzi teraz na widowni i wydaje polecenia aktorom.

– Sitka, proszę cię, nie rzucaj wieszaka, kiedy on mówi. To musi być dialog – poucza.

– Trochę za obojętnie to zabrzmiało. Ale nie krzycz na niego – sugeruje, a kiedy aktorka powtarza swoją kwestię, chwali ją: – Tak, tak jest dobrze.

Przerywa aktorom w pół zdania. „Zapiszcz, zapiszcz, proszę cię”, „Mocniej, mocniej, musisz ją zjeść jak burą sukę!”. „Maggie jest kotką, koty drapią. W szyję go ugryź. To jest bardzo dobre” – znowu chwali.

Mówi stanowczo, ale spokojnie, chwilami wręcz czule. – Lubię ich, to dobry zespół, są oddani pracy – tłumaczy.

Jego „Kotka” będzie mocniejsza niż ta filmowa z 1958 roku. Tam Maggie desperacko próbuje odzyskać uczucia męża, który ból po śmierci przyjaciela topi w alkoholu. U Poniedziałka, tak jak w oryginale, wszystko jest bardziej dwuznaczne: przyjaźń ze Skipperem miała homoseksualny podtekst, Brick jest wypierającym gejowskie pragnienia homofobem; nie może kochać Maggie.

– Bardzo jestem ciekawy, jak mój spektakl zostanie odebrany tutaj, w Nowej Hucie. W teatrze, do którego przychodzą zwolennicy PiS, a nie krakowska elita – mówi Poniedziałek.

Dziś z przyjemnością wraca do Krakowa, choć kiedyś nie lubił rodzinnego miasta. – Straciłem zupełnie to krakowskie zgorzknienie, rodzaj niechęci wynikający z tego, że nie czułem się tu szczęśliwy jako aktor. Że byłem wtedy niedojrzały, a Kraków był taki homofobiczny, konserwatywny, wręcz kastowy. Że ludzie byli tu małostkowi i pełni zawiści – tłumaczy.

Teraz – dodaje – patrzy na miasto trochę z boku. I wie, że ono go nie zje, to on może je zjeść, skorzystać z tego, jakie jest piękne, tętniące życiem, pełne turystów.

NIKT NIE PRZYTULAŁ

WYCHOWAŁ SIĘ NA KRAKOWSKIM OSIEDLU OLSZA, w małym mieszkaniu przy błotnistej ulicy Gdańskiej. Paliło się węglem, nie było bieżącej wody ani toalety, dach wiecznie przeciekał. Ojciec umarł wcześniej – małego Jacka, jego

dwóch starszych braci i siostrę wychowywały zapracowana matka oraz babcia dewotka. Nie miały czasu ani siły, by rozmawiać z dziećmi o życiu, przytulać je. Musiały je nakarmić i ubrać.

Po raz pierwszy o aktorstwie pomyślał w ósmej klasie, gdy do szkoły przyszedł emerytowany aktor, by przygotować uczniów do jakiejś akademii. To on powiedział 15-letniemu chłopakowi: „Jacek, ty masz wielki talent”. Namawiał go,

„Mam 51 lat, to jest trudny wiek. Mając lat 40, nie myślisz, ile ci zostało, a ta liczba 50 powoduje, że myślisz, że młodość się skończyła, że zamyka się wiele dróg

żeby poszedł do ogólniaka, a potem do szkoły teatralnej.

Wylądował jednak w zawodowce elektronicznej, bo matka przekonywała, że musi zdobyć zawód. Wspomina te trzy lata jako traumę. Odżył dopiero w technikum, gdzie razem z dwoma kolegami założył grupę teatralną. To wtedy zaczął się też uczyć angielskiego na tekstach piosenek nadawanych przez Marka Niedźwieckiego w radiowej Trójce.

Egzamin do szkoły teatralnej zdał za pierwszym razem. Po studiach zatrudnił się w krakowskim Teatrze im. Słowackiego. Szybko tego pożałował: nie dostawał ambitnych ról, a zdarzało mu się grać w jasełkach. A że z aktorskiej pensji nie dało się wyżywić, więc był akwizytorem – dostarczał do GS-ów bielezącą damską z Tajlandii.

Ze Słowackiego został wyrzucony: wyszedł z teatru podczas spektaklu, w którym grał jakiś epizod, a właściwie postać niewidoczną w tłumie. Jak tłumaczy – poczuł, że to nie jest jego miejsce.

Dwa miesiące później dostał angaż w Starym Teatrze. Został tam pięć lat, a potem wyjechał do Warszawy, do Teatru Rozmaitości. I od razu doskonałe role w „Oczyszczonych” i „Krumie”; spektaklach, które – zdaniem krytyków – zrewolucjonizowały polski teatr.

– TR, który narodził się z Rozmaitości, był najgorętszym teatrem w Warszawie. Młoda publiczność przychodziła na spektakle w martensach i swetrach, a nie jak do tej pory w garsonkach i perłach. Teatr przestał być świątynią. To była prawdziwa rewolucja. Mówi się nawet o przełomie styczniowym 1997 roku, kiedy równolegle w Warszawie miały premierę „Bzik tropikalny” Grzegorza Jarzyny i „Elektra” Krzysztofa Warlikowskiego – wspomina krytyk teatralny Mike Urbaniak.

– Wcześniej był w teatrze pewien zastój. I nagle pojawili się reżyserzy, którzy podjęli umykające dotąd teatrowi nowe problemy: ostracyzm związany z przynależnością do jakiejś mniejszości, z orientacją seksualną włącznie. Mówili o osobistej wolności nowym, świeżym językiem: ekspresyjnym, żywym i bez patosu. To było pokolenie, które wniosło do teatru nowe jakości. A Poniedziałek stał się twarzą tej zmiany – mówi Natalia Korczakowska, dyrektor artystyczna Teatru Studio.

JAK ZDOBEDZIEMY ŚWIAT?

KRZYSZTOF MIESZKOWSKI, BYŁY DYREKTOR TEATRU POLSKIEGO WE WROCŁAWIU, pamięta Poniedziałka z tamtych czasów. – Przyjechałem na którąś z premier do Nowego Teatru, który był wtedy jeszcze tylko na papierze, ale już wystawiał spektakle Warlikowskiego. Wszyscy byli bardzo zmobilizowani, a Jacek chyba najbardziej – opowiada. Zapamiętał też długie rozmowy w stylu: jak będziemy zdobywać świat?

Krzysztof Garbaczewski, reżyser teatralny i scenograf, zobaczył Poniedziałka w „Oczyszczonych”. – Potem poznałem go prywatnie i wydał mi się przedłużeniem idei tego spektaklu – otwarcia. On nieustannie pozostaje otwarty na ludzi, sytuacje, zdarzenia, nowe idee – mówi. – Bada nowe terytoria, do czegoś dąży, o coś się spiera. Przekłada z angielskie-

go dramaty, zajął się też reżyserią. To on ściągnął Tennessee Williamsa na grunt polskiego teatru.

Kiedy myśli o Poniedziałku, przychodzi mu do głowy trudne do przetłumaczenia angielskie słowo „badass”. – Czyli sukinkot, coś wrednego, nie miłego, nieustannie wbijającego szpilę. To się objawia totalną histerią, wykrzyczeniem swojej racji, która jest ponad wszystko i musi zostać uwzględniona. Ale potrafi też spokojnie i rzeczowo rozmawiać o tym, do czego jako artyści zmierzamy.

– Jacek jest po prostu furiatem. Widać to po jego postach na Facebooku, reaguje impulsywnie na to, co się dzieje w polityce – opowiada Mike Urbaniak. Kiedyś Poniedziałek obraził się na niego za recenzję. – Spotykamy się tydzień później i mówi: „Nienawidzę cię za to, co napisałeś, ale muszę przyznać, że było to dowcipne, ty chuju”. Ale to był chuj z czułością.

Krzysztof Mieszkowski zapamiętał taką sytuację: Teatr Polski grał „Wycinę” na festiwalu teatralnym Boska Komedia. – Spektakl został przyjęty owacjami na stojąco, a Jacek zobaczył mnie i rzucił: „Słuchaj, to jest beznadziejne”. Był zazdrosny – wspomina.

On też widzi u Poniedziałka jakiś rodzaj hysterii. I chaos – ale tylko pozorny. – Jechaliśmy we trójkę samochodem. My z Warlikowskim siedzieliśmy z tyłu, a Jacek prowadził i informował Krzysztofa, jaki ma grafik na następny dzień. A potem pilnował, żeby zrobił wszystko, co było zapisane w kalendarzu. I to jest jego siła: ogromna emocjonalność połączona ze skrupulatnością.

– Jak się czymś zachwycił, śmiał się do rozpuku, a jak coś mu się nie podobało, potrafił to zrównać z ziemią – opowiada Oskar Stoczyński, który zagrał w „Laleczce”, przedstawieniu dyplomowym w reżyserii Poniedziałka w szkole filmowej w Łodzi. – Walczył o najmniejszy detal. Nie mieliśmy dużego budżetu, a Jacek domagał się, żeby drzwi się otwierały w konkretnej chwili, żeby był wybuch w odpowiednim momencie. Dla ludzi pracujących w Teatrze Studyjnym to był lekki szok, ale stanęli na wysokości zadania. Nasz spektakl zdobył nagrody, warto było się starać.

Znajomi mówią: nie byłoby Poniedziałka takiego, jakim jest dziś, bez Warlikowskiego. Od lat się przyjaźnią i razem pracują. Ale reżyser nie chce o nim rozmawiać. – Nie przyłożę ręki do pisania jego laurki – ucina.

TRUDNY WIEK

– **CO U MNIE SŁYCHAĆ?** JESTEM MOCNO ZAJĘTY – mówi Jacek Poniedziałek. – Zagrałem duże role w dwóch filmach: „Ja teraz kłamię” w reżyserii Pawła Borowskiego i „Serce miłości” Łukasza Rondudy. A latem zaczynam zdjęcia do filmu „Eter” Zanussiego, w którym gram główną rolę. Wcześniej wyreżyserowałem przedstawienie dyplomowe „Osama bohater” w warszawskiej Akademii Teatralnej i przedstawienie „Bydło” w Teatrze Studio. I zagrałem w Nowym Teatrze u Michała Borczucha na podstawie „Zew Cthulhu” Lovecrafta – wylicza.

Na pytanie, czy taką ilością zajęć próbuje coś zagłuszyć, odpowiada, że praca to jego życie: – W przypadku artystów praca to złe słowo. To raczej kondycja, niepokój, który bywa twórczy. Poza tym w naszym teatrze wszyscy tyle pracujemy. Zresztą jaka jest alternatywa? Siedzieć i obgryzać paznokcie?

Na obgryzanie paznokci czasu nie ma. – Pracując nad spektaklem z Borczuchem, jednocześnie reżyserowałem w Krakowie, jeździłem tam i z powrotem kilka razy w tygodniu. To oczywiście pazerność artystyczna, ale poza tym muszę zarabiać pieniądze. Chcę utrzymać mieszkanie, samochód, spłacam kredyt. I jestem rozrzutny, to element mojej niedojrzałości, mam to po mamie – tłumaczy.

Czasem przychodzi mu do głowy, że sprzeda mieszkanie i wyjedzie z Polski. Nie na zawsze. Na rok, może na półtora. – Gdzie? Nie wiem. Gdziekolwiek. Mógłbym pracować w knajpie, nie muszę być artystą. Poza tym można nim być w bardziej swobodnej formie, robić jakieś projekty, nie walczyć tak w pierwszej lidze, tylko coś tam sobie ścibolić.

Ale tak w ogóle to nie jest mu zbyt radośnie. – Mam 51 lat, to jest trudny wiek. Mając lat 40, nie myślisz, ile ci zostało, a ta liczba 50 nagle powoduje, że zaczyna ci się robić nieswojo. Myślisz, że młodość

się skończyła, że powoli zamyka się wiele dróg. Uświadomiłem sobie, że mam już z górki, nawet jeśli przeżyję jeszcze 20 lat czy 30, to i tak jestem na krzywej schodzącej – mówi. I coraz częściej myśli, jak to będzie na starość. – Nie mam lęków, ale zastanawiam się, co będę robił. Czy będę zdrowy i miał kasę. Czy będę musiał pracować, czy będę mógł dyskontować coś z uzyskanych zasobów. Których nie mam, bo nadal nie oszczędzam – przyznaje.

Na pytanie, czy bywa szczęśliwy, nie umie odpowiedzieć: – To jest raczej stan pogodzenia z losem, życiem, otoczeniem, ale przede wszystkim z samym sobą, ze swoimi słabościami i zaletami.

Jest od jakiegoś czasu sam i nie marzy o związku idealnym, do śmierci. – Miałem taki niedawno, ale już nie mam. Zamknijmy ten temat.

ŻYĆ SWOIM ŻYCIEM

WE WRZEŚNIU UBIEGŁEGO ROKU NA SCENIE teatru w Bazylei, gdzie chwilę wcześniej grał w „Apokalipsie” Borczucha, odczytał manifest: „Nasz kraj został zaatakowany od środka. Boimy się. (...) Tracimy naszą wolność. (...) Nasz rząd z powodzeniem realizuje program: jak zniszczyć demokratyczny porządek. Najpierw sądownictwo, potem media, teraz przyszła kolej na kulturę”.

Prawicowe media uznały go za zdrajcę, który „szarga dobre imię Polski w imię obrony stołka największego cwaniaka polskiej kultury Krzysztofa Mieszkowskiego”. – Pojechaliśmy z „Apokalipsą” do Bazylei wkrótce po tym, jak Mieszkowski stracił stanowisko dyrektora Teatru Polskiego we Wrocławiu. Wydawało nam się oczywiste, że trzeba jakoś zareagować – wspomina Borczuch.

– Jacek bardzo świadomie reprezentuje środowisko teatralne, nadstawia głowę, jest symbolem odwagi – dodaje Krzysztof Garbaczewski.

Sam Poniedziałek czuje się już tą rolą zmęczony, zwłaszcza, że po każdej publicznej wypowiedzi dostaje lawinę wyzwisk, czasem groźby.

– Przez ostatnie lata czułem obowiązek komentowania rzeczywistości. Ale to nic nie daje. PiS czasem trochę traci w sondażach, ale co z tego, skoro jedyna partia

mająca szanse odebrać mu władzę, czyli PO, wstrzymuje się podczas głosowania w Parlamencie Europejskim albo wręcz głosuje przeciw rezolucji w sprawie kobiet i mniejszości seksualnych. To znak tożsamości polskiej klasy politycznej i całego społeczeństwa. I sygnał, że przez najbliższe 100 lat nie zmieni się nasz stosunek do kobiet, mniejszości seksualnych, przedstawicieli innych wyznań i narodowości. Zwłaszcza że PiS „odzyskało” edukację dla swojej prostackiej narracji. Kolejne pokolenia będą hodowane w tej ultrakatolickiej, nacjonalistycznej wierze i wieszczą Polsce absolutną klęskę cywilizacyjną – tłumaczy. Dodaje: – Na którą zresztą Polska zasłużyła.

**„Kolejne pokolenia
będą hodowane w tej
ultrakatolickiej,
nacjonalistycznej
wierze i wieszczą Polsce
absolutną klęskę
cywilizacyjną. Na którą
zresztą zasłużyła**

Nie chce już zabierać głosu. Woli żyć swoim życiem, a nie życiem narodu, który wydaje mu się coraz bardziej obcy. – Nie chodzi o to, że PiS coś zmieniło. Tylko że ujawniła się prawdziwa twarz Polaka. Zakompleksiona, agresywna, ksenofobiczna i nietolerancyjna. Często wulgarna i prymitywna. To jest prawda o nas. Te lata wcześniejsze, ładniejsze to była jakaś iluzja.

Nie, nie jest zgorzkniały, nadal interesują go ludzie, żyje nimi, karmi się ich energią i daje im własną. – Zgorzkniały jest tylko mój stosunek do Polski.

KOLEDZY MAJĄ ŁATWIEJ

– **CZY PONIEDZIAŁEK** JEST ARTYSTĄ DOJRZAŁYM? Nie, nie, nie! – zaprzecza Krzysztof Mieszkowski. – Jest nieprze-

widywalny jako aktor i jako człowiek. Przecież ta jego otwartość erotyczna była w Polsce ogromnym zaskoczeniem, a jego coming out był chyba jednym z pierwszych. To było bardzo odważne – mówi.

Od tamtego „wyjścia z szafy” minęło 12 lat, a Poniedziałek już dawno przestał być dyżurnym gejem. – Wiedziałem, że tak będzie, że to kwestia czasu. Że trzeba będzie przejść przez traumę – nawet nie traumę odrzucenia, tylko zawodowej i środowiskowej ostrożności, jaką rolę można mi powierzyć. Dziś ani reżyserzy, ani producenci się nad tym już nie zastanawiają. Mój homoseksualizm przestał być ważny – mówi aktor.

To nie stało się nagle. To był rozciągnięty w czasie proces, u jego podstaw stała gigantyczna praca, jaką wykonał. – Niektórzy rodzą się z wielkim talentem, a inni muszą dużo pracować. Ja się ciągle porównuję z kolegami i widzę, że niektórzy mają łatwiej. Nie mówię, że w efekcie końcowym jestem gorszy, ale muszę bardziej się postarać. Wiele razy tekst powtórzyć na scenie i w domu, gruntownie go przemyśleć, wiele razy się nad nim upić, zrobić research, słuchać dużo muzyki i oglądać mnóstwo filmów – tłumaczy.

Krzysztof Garbaczewski: – Czasami bywa upierdliwy w swych artystycznych poszukiwaniach, czasami jego intuicja jest niesłuszna. Trzeba z tym walczyć, przekonywać go, namawiać, a odpowiedzią jest trzaskanie drzwiami. Do czego nie udało mi się go przekonać? Nie udało mi się go rozebrać, choć latami namawiałem – mówi z uśmiechem.

CO JESZCZE POWIEDZIEĆ?

PRÓBA W TEATRZE LUDOWYM POWOLI SIĘ KOŃCZY, ale za kilka godzin będzie kolejna. – Nie stójcie w półkołu. Nienawidzę półkoła, to jest takie operowe. Macie mnóstwo miejsca – Jacek Poniedziałek wydaje aktorom ostatnie instrukcje. I dodaje: – Szukajcie jak najwięcej wolności dla siebie, dla swoich postaci. Wolności. Co jeszcze mam wam powiedzieć? Widzimy się wieczorem. **N**

renata.kim@newsweek.pl

ewelina.lis@newsweek.pl